

Roman Zawadzki

Świat znaczeń pustych i fałszywych

Zapaść semantyczna, termin ukuty przez Herberta, oznacza – biorąc rzecz po ludzku – mowę, która przestała cokolwiek znaczyć. Przez dowolne, arbitralne i instrumentalne przekłamywanie sensu słów i manipulowanie ich znaczeniami przekaz w nich zawarty przestaje być jednoznaczny i może zawierać cokolwiek, co tylko komu przyjdzie do głowy. Prowadzi to do relatywizacji przekazywanych treści i samej komunikacji. Operując dowolnością pojęć, konstruuje się rozmaite łamańce językowe, a tym samym zafałszowany obraz rzeczywistości, konstruowany z terminologicznych etykietek. Nadaje się mu pozory trafności jej opisu, budowanego bądź przez swobodne i nieuprawnione przeinaczanie tradycyjnego sensu słów, bądź przez chytre odwracanie ich pierwotnych znaczeń. Posługując się często pseudonaukowym, mądrze brzmiącym bełkotem, uwiarygodnia się oczywiste bzdury, nieraz alogiczność owego opisu, narracji i wnioskowania.

W tej technologii „duraczenia” ogromne znaczenie ma fantastycznie pojemne określenie „inaczej”. Słótko to stosuje się dzisiaj właściwie do wszystkiego – dobra i zła, piękna, prawdy, przyjemności, rozumu, uczuć, siły i słabości. Likwidując zasadę „tak-tak”, „nie-nie”, wprowadza się unieważniający ją łącznik, „ale” oraz właśnie owo niezwykle „inaczej” w randze wielkiego kwantyfikatora. Pokrętna dialektyka, wspierana prostackim manicheizmem współczesnych teorii naukowych, potrafi uzasadniać zasadność zła i bezsensowność dobra; rozumność głupoty i głupotę rozumu; bezwolność działań i siłę tej bezwolności.

Wszystko teraz jest lub może być „inaczej” – nadto z pełnym błogosławieństwem bożka nauki. W efekcie każdy idiotyzm, każdą podłość czy wręcz zwyrodnienie, opatrywane

etykietką „naukowości”, uchodzi za wykwit rozumu i objaw normalności. Każdy idiota może teraz uchodzić za „umysłowość wybitną inaczej”, a każdy łobuz za osobnika wręcz szlachetnego, trapionego bólem istnienia i uzewnętrzniającego swe rozterki i dylematy w sposób niekonwencjonalny, czyli „normalny inaczej”.

Z drugiej strony można z normalnego człowieka zrobić „psychicznego inaczej”, cierpiącego na jakąś – kwalifikowaną przez oszustów medycznych i akademickich, lub cwaniaków od psychobiznesu – przypadłość w stadium zgoła „bezobjawowym”. W ten sposób każdego da się jakoś stygmatyzować, ośmieszać, dyskwalifikować, później wykluczać, a gdy trzeba – izolować lub eliminować. A wszystko dzięki cudownemu przysłóvkowi „inaczej”; rozwinięcie tej metody traktowania ludzi zalecam czytelnikowi jako pouczające, niekiedy wręcz rozrywkowe ćwiczenie domowe.

Manipulacyjność nowomowy polega na wprowadzaniu do języka określonych szablonów zrelatywizowanego opisu świata, czyli na nakładaniu ludziom uprzednio zaprojektowanych filtrów na postrzeganie i rozumienie rzeczywistości oraz na kody jej rozpoznawania, analizowania, nawet doświadczenia. Powoli, bez pośpiechu, żeby tylko nikogo nie spłoszyć, niczym w „gotowaniu żaby”, wmontowuje się je w narrację wewnętrzną człowieka tak, by stopniowo deformowały to, co wytworzył w sobie (lub wytwarza) w trakcie osobowej formacji kulturowej, w co wierzy, co ma za trwałe i święte.

Manipulacje na języku mają straszliwą siłę rażenia. Powodują powolną, acz skuteczną dekompozycję jednego z kodów „czytania świata” i komunikacji – nie tylko międzyludzkiej, lecz także jednostki z jego własną historią i kulturą. Tym samym dokonuje się relatywizacji pojęć oraz ich znaczeń; przypomina to trochę wpuszczanie wirusów do oprogramowania systemu. Człowiek zaczyna się gubić, gdyż traci stałe punkty oparcia swego myślenia i swej tożsamości. Zrównywanie znaków wartościujących wszystkiego i we wszystkim czyni go

bezbronnym i bezradnym w poruszaniu się w otaczającym go świecie.

Oswojeni już na dobre z fałszywym językiem, wypranym z jednoznaczności sensu słów, ich znaczeń i odniesień do wartości uniwersalnych, infantylnie przywykamy do ekspansji nonsensu, zła i patologii, do tandety i miałkości, do szpetoty, do marginalizacji umysłowej. Nie zdajemy sobie jednak sprawy, że techniki manipulacyjne obejmują nie tylko mowę, ale i całe spektrum naszego „kontaktu ze światem”. Wszak żyjemy w przestrzeni, postrzeganej nie tylko „tu i teraz” przez nasze zmysły, ale również w przestrzeni kulturowej i duchowej. Obejmuje ona między innymi wieloraką symbolikę, w jakiej osadzone jest nasze poznanie i rozumienie zarówno siebie, jak i całej otaczającej nas rzeczywistości, w tym i tej nadprzyrodzonej.

Rzadko kiedy uświadamiamy sobie, jak silnie i głęboko zakorzenieni jesteśmy – umysłowo, emocjonalnie, społecznie i duchowo – w świecie symboli rozmaitych odmian i rodzajów. Już tylko mnogość i różnorodność chociażby samych znaków graficznych, ich kształtów, form i kontekstów może przyprawiać o zawrót głowy. Od znaków totemowych, wojskowych, rodowych, do religijnych aż się roi w historii i tradycji. Znaki matematyczne i liczby mają swoją wręcz mistykę, podobnie jak litery alfabetu (np. żydowska kabała, runy, nie mówiąc już o pismach Wschodu) czy figury geometryczne (proste i złożone). A przecież jest jeszcze jakże bogata symbolika dźwięków, brzmień, melodii (np. rozmaitych hymnów, pieśni, sygnałów itp.) i harmonii, symbolika barw, zapachów, gestów, zachowań, nazw i imion własnych, miejsc, budowli, ciał niebieskich. Jest symbolika zdarzeń i postaci historycznych, literackich, religijnych.. Wyliczać te kategorie i podawać ich przykłady można *ad libitum*.

Osobą sprawą jest mitologia, zbudowana jako symboliczna narracja spersonifikowanych i upoetyzowanych opisów postaw, konfliktów sumienia, dylematów wolności oraz odpowiedzialności, wraz z niezliczonymi przykładami tego, co dobre i złe,

godziwe i niegodziwe, piękne i szpetne – z wszystkimi tego konsekwencjami. W gruncie rzeczy nie ma ani jednej sfery życia, ani jednego aspektu egzystencji człowieka, jego historii i kultury, która nie ma swego odwzorowania w symbolach i mitach. Obejmują one całe dziedzictwo i tradycję zbiorowości ludzkich – wielkich i małych, narodowych i lokalnych – ich wiedzę, wiarę, sposoby życia oraz instytucje.

Mitologizacji poddany jest zarówno świat ludzi, przyrody ożywionej i nieożywionej – widzialny, ale i ten niewidzialny i nadprzyrodzony. Nie ma niczego, co w ludzkim umyśle, uczuciach i wyobraźni, w poznaniu i działaniu, nie ma swej reprezentacji w niezliczonych mitach, niekiedy nawet sprzecznych w swych przesłaniach. Zawarta w nich jest nie tylko cała fenomenologia kondycji człowieczej, lecz także jej osąd czyli wartościowanie wszystkich jej aspektów – od najdrobniejszych konkretów po mistyczną duchowość.

I w tej sferze dokonuje się manipulacji, której efektem ma być swoista *degradacja tożsamości kulturowej poprzez inflację i dewaluację symboli*. Prowadzi się ją nieustannie metodą stymulowania odpowiednich skojarzeń w obrębie treści symbolicznych, zawłaszczanych i reinterpretowanych, przeinaczanych także semantycznie (nowomowa) i transponowanych na rozmaite formy wymiernych wzmocnień przy pomocy technik wielorakiego warunkowania (czyli tresury).

Mity i tradycja to zapis pamięci ogólnoludzkiej o wszystkim, co w jakikolwiek sposób jest znaczące dla każdego z osobna i dla każdego typu społeczności. To utrwalony przekaz nie tylko o tym, co było i jest, lub być mogło jako alternatywa dla rzeczywistości, lecz również tego, co być powinno, lub mogłoby być jako wartość oczekiwana i pożądana w sferze aksjologii. W tym więc sensie to nie tylko specyficzne, odwzorowanie realności i nadrealności istnienia, lecz także *projekcja marzeń, nadziei czy lęków, a także wszelkiej iluzji na temat świata, w jakim przychodzi żyć*.

Poruszanie się w tej gigantycznej przestrzeni umożliwiają nabywane od chwili narodzin kody ekspresji i komunikacji – werbalnej i niewerbalnej, symbolicznej, poznawczej, emocjonalnej, behawioralnej, społecznej i duchowej – między jednostką a jej otoczeniem. W każdy wątek bytowania człowieka wbudowany jest odrębny kod, będący nośnikiem specyficznych dlań oddziaływań. Różne kody przenikają się aczkolwiek nie są ze sobą tozsame. Dzięki nim realizuje się interaktywne *zespolecie człowieka, jako podmiotu z jego całym dopełnieniem*, gdyż każda aktywność, czy to wewnętrzna czy to skierowana na świat zewnętrzny, urzeczywistnia się w obrębie któregoś z nich.

Symbole nigdy nie tworzyły i nie tworzą zbioru zamkniętego. W biegu historii materialnej i duchowej powstawały nowe, odwzorowujące kolejno nabywane doświadczenia pokoleń. Uogólniane, ubierane w nośną i jednoznacznie czytelną formę, włączane były i są do puli naszego dorobku kulturowego i cywilizacyjnego. Głównym kryterium oceny ich wartości i trwałości była (i powinna być) oczywista aktualność ich przesłania, nawet jeśli dotyczą spraw drobnych czy lokalnych. Wszelako to, co nowe, musi spełniać jeden warunek – nie być jakkolwiek sprzeczne z tym, co już się sprawdziło i sprawdza. Zatem, niczym w prawdziwej nauce – nowe powinno zawierać w sobie to, co stare, uzupełniać je lub poszerzać zakres jego stosowalności. Innymi słowy, jego znaczenie i sens nie może podważać tego, co jest, a jedynie je *ewolucyjnie* wzbogacać o nowe aspekty treściowe.

Niestety, od czasu, gdy inżynieria społeczna nabrała swego złowieszczonego impetu i stała się narzędziem uzurpacyjnego sprawowania przez nielicznych władztwa nad światem i ludźmi, ewolucję kulturową zastąpiło majsterkowanie przy czym się tylko da na skalę masową, czyli gwałcenie natury i praw nią rządzących. Z buntu przeciw Stwórcy zrodziła się deformacja chrześcijaństwa, potem chora filozofia Oświecenia, z niej zaś wyrosły równie chore ideologie postępu, barbarzyńskie rewolucje i wojny, wreszcie współczesne zniewolenie

jednostki w skali globalnej. A wszystko za sprawą szaleństwa samozwańcych demiurgów, którym zamarzyło się konkurować z Panem Bogiem (a ponoć go nie uznają). Biblijny Adam chciał tylko dorównać Bogu w poznaniu, natomiast współcześni buntownicy umyślili sobie, by go zastąpić *in actu*, i to *in toto*. Cóż, niegdyś upadły anioł stał się Księciem Zła, ale dzisiejsi umysłowi i duchowi popaprańcy są tylko jego lokajczykami, nad wyraz gorliwie służącymi swemu panu. Niestety, bardzo skutecznie.

Po zniszczeniu języka i semantyki, zabrali się za symbolikę, czyli za dziedzictwo kulturowe i duchowe człowieka, wręcz za jego podstawy. Nie wystarcza im chaos pojęciowy, bełkot nowomowy, wbijanie ludziom do głowy, że czarne jest białe, dobre jest złe, głupie jest mądre, a piękne jest szpetne – i na odwrót. Chcą tę „anomię semantyczną” domknąć także w sferze symboliki, deformując jej elementy i albo je zdeprecjonować, albo wymienić na jakieś ersatze, pozbawione treści i odniesień znaczeniowych. Mówiąc przerośnie, idzie o to, by – jak w dobrej reklamie – w miejsce towarów promować zgrabne i efektowne etykiety ich opakowań. Nadto nachalnie eksponuje się symbolikę „przekłamaną”, odwołując się do tradycyjnych znaczeń, lecz podstawiając pod stare znaki nowe treści, niekiedy niemające wiele wspólnego z pierwowzorem. To taka „nowomowa symboli”, czyli fałsz, relatywizujący kulturowe znaczniki tożsamości. Nie tylko mówimy bełkotem, lecz mamy teraz rozbełtany system wartości, z którego wyrasta nasze myślenie i funkcjonowanie, nasz ogląd i ocena świata, nasze postawy, potrzeby, oczekiwania, preferencje życiowe, a nade wszystko nasza duchowość.

Wielką zdobyczą współczesnej inżynierii psychospołecznej jest opanowanie i udoskonalenie sztuki kreowania symboli pustych treściowo, lecz nośnych funkcjonalnie przez swą atrakcyjność wizerunkową. Na tym stoi cała reklama, przemysł medialny, wreszcie propaganda i polityka. Powoływanie się na odwrócenie znaczenia hinduskiego znaku

swastyki jest niezwykle instruktywne, aczkolwiek przykład to stary i już mocno zużyty. Świat biegnie naprzód, a manipulanci idą „na całość”, i stawiając na „produkcję masową”. Otaczają nas więc tysiączne znaki reklamowe chlamu i tandety, trwa nalot koszący pustych dźwięków, wzbudza się podziw dla coraz to nowych herosów popkultury, polityki i biznesu – a wszystkiemu temu przydaje się wszelkie atrybuty doskonałości, piękna, mądrości i sukcesu ponad wszelkie wyobrażenie – oczywiście w imię konieczności sprostania wymogom postępu. W cenie jest nie wartość, lecz użyteczność i skuteczność w realizowaniu czegokolwiek, co przynosi korzyść, zdrowie i szczęście szybko, łatwo i przyjemnie. Nawet kosztem wątpliwych wyborów moralnych – tego bowiem w repertuarze nowej symboliki brak.

Kojarząc oznakowanie wątpliwych, bałamutnych, a i szkodliwych treści z tradycyjnymi symbolami uzyskuje się „efekt przeniesienia” czyli nieuprawnionej analogii. Dobrze widać to w kształtowaniu postaw osobowych wobec erotyki czy dylematów natury psychicznej i ogólnie egzystencjalnych (np. konfliktu sumienia). Promowanie w symbolice hedonizmu zamieniło uczuciowość i erotykę w towar konsumpcyjny. Wszelaki heroizm ma sens głównie w zdobywaniu życiowych fantów, a eksponowanie w mediach siły i brutalności przybrało już wymiar epidemii. Na koniec nie można nie wspomnieć o jawnie satanistycznej proveniencji (z magią na czele) wzorców zachowań nowych idoli i nowych mitów, kreowanych przez literaturę, film, telewizję i Internet; cóż, diabeł, który wmówił ludziom, że go nie ma, zbiera niezłe żniwo.

Warto zdać sobie sprawę, że owa tresura w sferze indukowania fałszu kulturowego zaczyna się już od dzieci i młodzieży we wszystkich fazach rozwojowych. Ta maszyna manipulacyjna nastawiona jest na przechwytywanie oddziaływań wychowawczo-edukacyjnych – włącznie z pisaniem nowych bajek i wymyślaniem nowych

znaczeń dla starych mitów i nowej wykładni dla ich treści. Tworzy się też – zwłaszcza w sztukach wizualnych – spersonifikowane symbole całkiem nowe, osadzone w dzisiejszych realiach. Wystarczy spojrzeć na tysiączne gadżety, łąkocie, nawet ubrania (np. dziurawe spodnie jako krzyk mody i wzorzec elegancji!). Wbrew pozorom, nie jest to taki sobie drobiazg, śmieszny czy mało znaczący. Wystarczy przyjrzeć się temu, co oferują różne media w niezliczonych materiałach i programach dla najmłodszych i jakie wzorce osobowe i zachowań są w nich promowane. No, a czym skorupka za młodu nasiąknie... – nie tylko w formach, ale w oczekiwaniach i nawykach ich zaspokajania.

Jest wreszcie i polityka. Tu już panuje wolna amerykanka, polegająca na totalnym zakłamywaniu i zaklinaniu rzeczywistości. W nomenklaturze orwellowskiej wojna czy rewolucja to wyzwolenie i zapowiedź przyszłego szczęścia narodów. Wszyscy jak mantrę powtarzają, że demokracja wywodzi się przecież ze szlachetnego i mądrego greckiego antyku i należy ją czcić bez szemrania. Jest to wmówiona ludziom bajeczka w randze powszechnej j świętości. Niemniej w imię obrony i propagacji jej ideałów wyczynia się najdziksze, wręcz apokaliptyczne brewerie z ofiarami i trupami liczonymi w setkach milionów istnień ludzkich. Masy tresuje się do przyzwalania na ten stan rzeczy, ubierając szaleństwa w odpowiednie słowa (semantyka) i wielowymiarowe oznakowania (symbolika). Ważne przy tym jest, by nie przeholować z pomysłami, chociażby z indukowaniem np. patriotyzmu, bo w globalistycznym planie świata przewidziano dla niego miejsce wyłącznie ozdobne.

Starannie dobrana, hojnie opłacana i usłużna obsługa medialna, dzięki zapaści semantycznej i symbolicznej załatwia powszechną zgodę (nieraz wręcz entuzjazm) tumanionych ludów na każde polityczne zmówienie i draństwo. A kto się nie podda temu naporowi grupowemu ten wróg i parazyt, czyli kandydat do odstrzału, a w najlepszym

przypadku do obróbki psychologicznej, w której zostanie postawiony do „właściwego” pionu. Bo, jak wiadomo, może też być „pion inaczej”.

Jest również pewien szczególny aspekt kłamstwa symbolicznego, polegający na fałszowaniu historii i nauki poprzez selektywność faktów i ich interpretacji. Tradycja historyczna to między innymi zbiór najrozmaitszych symboli, w tym i tych spersonalizowanych. Konwencja felietonu wyklucza rozwinięcie tego wątku, lecz warto wiedzieć, że i tu dokonuje się manipulacji, nieraz na skalę niebywałą, poczynając od kwestii ustrojowych, a na instrumentalnym kwalifikowaniu konkretnych zdarzeń i rozmaitych ich uczestników kończąc. Mamy więc fałszywe mitologie rozmaitych ideologicznych „-izmów”, bitew, traktatów i czego kto tylko chce. Mamy galerie przekłamanych postaci, pełniących role narodowych idoli niejako wzorcowych – i takowych kanalii. Mamy skrywanie tajemnice, które dają asumpt do ciągnących się przez wieki burzliwych sporów. Jest w czym wybierać i w czym przebierać. Jako kolejne ćwiczenie domowe polecam sporządzenie sobie remanentu zasobów w tym dziale prywatnego katalogu symboli.

Została nam jeszcze nauka i sztuka. Z pierwszą jest ten kłopot, że zakładamy, iż nie da się w niej nic zakłamywać, zatem wyrastająca z niej symbolika jest nie do podważenia. Zostawmy na boku pseudonauki z gatunku tzw. humanistyki, gdyż są bez reszty zmitologizowane i obudowane bełkotem, przez który trudno się przebić. Lecz w naukach ścisłych też trafiają się świętości wręcz symboliczne, które okazują się z czasem nieprawdą. Ostatnio podważono aksjomat o stałej prędkości światła, a przy okazji obalono mit geniuszu Einsteina. Cóż tak to już się dzieje, iż stare teorie się dezaktualizują, gdy pojawiają się nowe dane. Lecz w tym akurat przypadku rzecz ma się zgoła inaczej – wadliwość tej koncepcji i wątpliwa kwalifikacja jej autora znane były od samego początku, lecz podtrzymywano te mity i jej symbolikę ze względów manipulacyjnych, całkowicie pozanaukowych. Kto chce, może i

to sobie przeciwzyć w domu – polecam zacząć od Maxwella i Tesli. A jest jeszcze biologia (z Darwinem na czele), genetyka z medycyną i eugeniką, astronomia z kosmogonią (z Hawkingiem) – bliższe przyjrzenie się temu zapewnia również wesołe atrakcje poznawcze w ramach tego, o czym tu mowa.

Z kolei w sztuce od dawna już postępowała relatywizacja kanonów piękna, harmonii i estetyki wraz z całą ich symboliką. W efekcie dopracowaliśmy się ekspansywnej dominacji szpetoty, abstrakcyjnych i bezsensownych humbugów, przerostu ideologii i didaskaliów nad sensem i formami jej przekazu. Epatowanie treściową pustką i kiczem stało się wręcz normą. Szalbierstwo zastąpiło talent, a z kolei prawdziwe talenty, włączane w żerujący na nich biznes, nierzadko dają się mu korumpować, pozwalając instrumentalizować swe dokonania chociażby w polityce i propagandzie. Schlebienie gustom lub kreatorom mód i show-biznesu stało się ważniejsze od impulsów wewnętrznego imperatywu twórczego i zwykłej uczciwości wobec swego powołania. Cały ten kompleks zjawisk też ma swoją symbolikę i mitologię, swoich bohaterów i celebrytów, windowanych na piedestał wielkości, mądrości, sukcesu i pieniądza.

I tak oto żyjemy w świecie masowości pustych symboli i ich fałszywych znaczeń. Jest to stan zapaści kulturowej, który czyni wielkie spustoszenia w naszej psychice, wrażliwości, umysłowości, a nade wszystko w naszej tożsamości i duchowości. To taka trochę heideggerowska nicość, w której ludzie dryfują „tu i teraz” bez stałych odniesień do tego, skąd się wywodzą, kim właściwie są, dokąd zmierzają, po co i dlaczego. Doraźność egzystencji w stanie anomii totalnej jest zabójcza dla człowieka, który wszak został stworzony nie jako bezmyślne bydło, lecz jako istota na podobieństwo swego Stwórcy. To powinno zobowiązywać, lecz niestety – poddajemy się destrukcyjnym oddziaływaniom, zrodzonym z głupoty, pychy, chciwości i podłości. Rozgrywając słabości i dobrą wolę

przeciętnych odbiorców, a nawet ich pocziwą łatwowierność, zaszczepiając im chytrze niewiarę w cokolwiek, magicy od pscho- i socjotechniki narzucili masom model życia, niewykraczający poza bytowanie w rytm perystaltyki, prostackiego funkcjonalizmu i duchowej atrofii.

Cóż, kłamstwo, fałsz, obłuda, manipulacja – wszystkie te szachrajstwa od zarania dziejów towarzyszyły człowiekowi i zawsze były wykorzystywane jako środki do realizacji rozmaitych, rzadko kiedy szczytnych celów – zarówno przez wielkich tego świata, jak i przez zwykłych szaraczków historii. Nigdy jednak nie były *narzędziami systemowymi, instytucjonalnie wkomponowanymi w strukturę i organizację ludzkich zbiorowości w celu instrumentalnego zarządzania gigantycznymi masami na również gigantyczną skalę*. Właśnie owa systemowość jest tu swoistym *novum*, przerażającym w swoim totalizmie i jego apokaliptycznych wręcz skutkach. Na horyzoncie majaczy już wizja *homo novus, nullius coloris*, jakiejś hodowlanej mutacji człowieczeństwa do postaci homunkulusa czy swiftowskiego yahusa. Należy jednak wierzyć, że dobry Bóg, choć cierpliwy i miłosierny, nie da z siebie drwić i w końcu się zirytuje tymi diabelskimi płasami. A wtedy korowód opętańców – niczym w finale filmu Felliniego – prowadzony przez upiornego błazna, jakoś się skończy. Tylko jak, i kiedy?

A my sami? Co mamy z tym robić? Po pierwsze izolować się od tej zarazy, unikać jej gdzie i kiedy się tylko da, zachowywać zdrowy rozsądek, nie ulegać tanim fascynacjom, trzymać się swoich poglądów, nie dawać się zmałpiać oszustom, zachowywać wobec idiotyzmów dystans i postawę człowieka wolnego wewnątrznie. Polecam nadto *systematyczne*, bardzo ważne, domowe ćwiczenia autodiagnostyczne.